

# Kronika tygodniowa.

Niema złego, aby na dobre nie wyszło!... Tak mawiali nasi ojcowie i mieli rację, jak się dziś sam o tem na samym sobie przekonuję. W zakończeniu poprzedniej kroniki zamieściłem wzmiankę o operze, której Kraków nie posiada dotąd i zaznaczyłem, że jakoś się przecież bez niej obchodzimy. To ściągnęło na mnie moc gromów ze strony jakiegoś anonima, który wymyślał mi od zacofańców, zapleśniałych grzybów i innych tego rodzaju nie nadających się do użytku artykułów spożywczych, zastrzegając się, że mogę pisać, co mi się podoba, a operę musimy mieć i to już w najbliższym czasie i do tego prowadzoną we własnym zarządzie gminy. Doświadczenie nauczyło, iż jest on zupełnie odpowiednim, nie potrzeba więc oglądać się za dzierżawcami i potem słuchać ich narzekania, że nie mogą związać końca z końcem, wobec czego potrzebują subwencji. We własnym zarządzie obejdzę się bez jakichś tam subwencji, pozostanie może, co najwyżej, deficyt, a ten można pokryć łatwo z nadzwyczajnych funduszy dyspozycyjnych, które zawsze się znajdują w tak bogatym grodzie, jak rozszerzony Kraków.

List przeczytałem i schowałem go do kosza, skąd w swym czasie powędruje do pieca, ale też równocześnie przyszło mi na myśl wyżej zacytowane przysłowie, nie ulega bowiem kwestyi, iż byłbym narażony i na drugą porcję besztania, gdyby pan metrampaż, znowu „z powodu braku miejsca“, nie był obciążał końca poprzedniej kroniki, który brzmiał, jak następuje:

„Tak samo zdawało się nam przed laty, że koniecznie musimy mieć wyścigi, bo coś warte wielkie miasto bez nich. Tymczasem ich niema, a przecież żyjemy, a w ostatnich latach istnienia urządzało je, ot, tak sobie „na obraz i podobieństwo“, byle tylko dociągnąć do końca terminu dzierżawnego wyścigowego toru.

Nie wątpię, iż niejeden Krakowianin, bawiąc za granicą, byłby zadowolony, gdyby mógł powiedzieć: „My mamy operę i wyścigi!...“ Ale również jestem mocno przekonany, że braku ich nikt nam za złe nie weźmie, chyba człek, który pod czaszką, zamiast mózgu, nosi jakiś małowartościowy surogat, ale znowu na zdaniu takich osobników nie powinno nam tak bardzo zależeć.

Po wojnie znajdzie się czas i sposobność na wszystko. Wówczas będą może i pieniądze, których dziś brak...“

Zwolennicy sportu z pewnością byłiby się na mnie o to pogniewali, jeśli tego zaś dotąd nie uczynili, kto wie, czy nie wyrażą mi w przyszłym tygodniu *votum* nieufności, podobnie, jak to uczynił ów anonim w imieniu krakowskich melomanów.

Ba, ale na tem jeszcze nie koniec! Inny znów jegoć, czy też jejmość, bo pici z charakteru pisma aui rusz odgadnąć nie mogę, oburza się na mnie, iż zbyt wiele miejsca i czasu poświęcam sprawom aprowizacyjnym, dotyczącym miasta Krakowa, zamiast omawiać częściej i dokładniej ogólną, głębszą politykę. Pan ów, czy też pani, nie ma jednak racyi, narzekając z tego powodu na mnie, gdyż chyba każdy mi przyzna, że dziś aprowizacja to grunt i, że chcąc żyć, trzeba jeść, a chcąc jeść, trzeba mieć coś do jedzenia.

Tego samego, co i ja, zdania jest widocznie jegoć, który w numerze 156. *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* zamieścił ogłoszenie tej treści:

„Inteligentny, starszy kawaler, na rządowym stanowisku, pragnie poznać pannę lub wdowę przystojną, inteligentną, w celu matrymonialnym. Pierwszeństwo mają restauratorki lub córki tychże. Fotografia pożądana. Anonimy do kosza...“

Myślę więc, że ów „starszy kawaler“ zrobił wybór bardzo trafny, szukając na te ciężkie czasy dożgonnej towarzyski życia w sferach jadłodawczyń, gdyż taka jejmość nie pozwoli chyba swemu małżonkowi zginąć z głodu. Należało jednak, ot, z prostej przezorności, zażądać obok fotografii i „spisu potraw“ z odnośnej restauracyi, przynajmniej za tydzień cały, by się przekonać, jakiego rodzaju podają tam „papu“. Łatwo bowiem „wdepnąć“ i popeliń megalians, zwłaszcza, iż tutaj głównie żóładek, a nie serce w grę wchodzi, a na tym punkcie trzeba być bardzo ostrożnym. Dziś, gdy żyjemy się samymi surogatami, tak łatwo nabić się n. p. kataru żóładkowego, a tak trudno się go potem pozbyć!... Nie tylko zwykła kuchnia posługuje się obecnie surogatami różnego rodzaju, obfituje w nie, niestety, także i łacińska, czyli apteka, wykazująca w spisie leków coraz więcej tak zwanych „wojennych środków leczniczych“.

O aprowizacyi, choćby nawet gniewał się na mnie ten i ów z pośród P. T. Czytelników, nieraz jeszcze napiszę, kto wie, czy nie poruszę tego tematu i w tej jeszcze kronice, o ile naturalnie miejsca starczy, gdyż

przedewszystkiem postanowiłem omówić, bardzo ważną kwestyę politycznej natury, mającą nawet związek z owym końcem wojny, którego w żaden sposób do czekać się nie możemy.

Gdyby poszczególne części kroniki miały specjalne tytuły, rozdział niniejszy powinienby nosić nagłówek: „Koty ratują budżet angielski“.

Wiemy z historyi, iż gęsi swojego czasu uratowały Kapitol przed inwazyą nieprzyjaciół, koty natomiast podobnie zaszczytnej karty w dziejach świata dotąd sobie zdobyć nie potrafiły, nie dlatego bynajmniej, by były może mniej inteligentne od przedstawicieli gęsięgo rodu, ale, ponieważ nie znalazły do tego sposobności.

Teraz im się dopiero nadarza, co zapewne z radością przyjmą do łaskawej wiadomości zwłaszcza stare panny, przyjaciółki serdeczne różnych Maciusiów i Mruczusiów.

Kaucierz skarbu w Anglii, pan Bonar Law, przedłożył odpowiednim czynnikom czwarty budżet wojenny, przewidujący w wydatkach około dwa i pół miliarda funtów szterlingów, przy dochodach, przenoszących o niewiele zaledwie pół miliarda. Należałoby zatem wprowadzić nowe podatki, jako nowe źródło pokrycia olbrzymiego niedoboru. Mister Bonar Law nie żąda jednak nowych podatków, nie żąda nawet podwyższenia opłaty od psów, „z wielką natomiast zmarszczką troski na czole“ (słowa jednego z pism politycznych) proponuje podwyższenie podatku od kotów, których w Anglii jest wedle obliczenia urzędowego pełne i okrągłe trzy miliony.

Przyznam się, że będąc na miejscu pana Bonara Lawa, na podobny projekt nigdybym się nie ośmielił, wiedząc, że jak gwałtowną opozycyą musi on się spotkać w sferach przyjaciółek kotów, które nie zechcą zrozumieć, że w ten sposób mają ratować ojczyznę i przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa. Pani Pankhurst proponowała podobno w swoim czasie utworzenie korpusu posiłkowego, złożonego z samych sufrażystek-amazonek i wysłanie go na front francuski, każda jednak z uczestniczek chciała ze sobą zabrać swego kota, niektóre nawet po dwa i trzy, i o ten właśnie szkopał wszystko się rozbiło. Sufrzystki i ich koty pozostały w Anglii i to miało być przyczyną, iż nie udała się ostatnia ofensywa francusko-angielska tak, jak zapowiadano,

Czy więc teraz ratują koty ojczyznę i przyczyniają się do wyrównania niedoborów budżetowych, przewidzieć trudno, ja wogóle w to nie wierzę i radziłbym panu Bonarowi Lawowi, aby zrezygnował z zamiaru, jeśli nie chce się narażać na objawy niezadowolonia miłujących koci ród córek Albionu. Jeśli sam dotąd nie miał sposobności osobiście (a nawet może i namacalnie) przekonać się o tem, niechaj poinformuje się, u swych kolegów z ławy ministeryalnej, a dowie się jak to niebezpiecznie zadzierać w Anglii z plecią nadobną, zwłaszcza na tak drażliwym punkcie, jak koty.

Pod tym względem nie różnią się od siebie niewiasty na całej kuli ziemskiej, gdyż pamiętamy chyba, jakie wśród naszych pań oburzenie wywołało swojego czasu opublikowanie rozporządzenia, zakazującego kociemu rodowi włóczenia się samopas i grożącego opornym najsurowszymi karami. Niewiele brakowało, a byłibyśmy wówczas mieli małą babską rewolucję, udało się ją przecież zażegnać, cofając owe, jak je pewna jejmość nazwała, *dragonskie* paragrafy. Skutek w każdym razie był, kroniki pism codziennych stwierdzają bowiem jednoznacznie, iż koci karnawał w ciągu ostatnich trzech lat był stanowczo mniej ożywiony, niż przed wojną.

Tak się stanie, czy owak, pan Bonar Law nie traci przecież fantazyi i nie niepokoi się bynajmniej o przyszłość, zwłaszcza, że skarbnik Stanów Zjednoczonych zapewnił go, iż oddaje mu do rozporządzenia skarb sprzymierzonej republiki amerykańskiej. Ta szlachetna pomoc uratuje zatem angielskie koty i, nie oglądając się na nic — tak przynajmniej twierdzi ów angielski mąż stanu — będzie można wojnę przeciągnąć chociażby do końca wiosny 1918 roku. Pozatem pozostaje jeszcze w rezerwie podwyższenie podatku od tytoniu, od widowisk teatralnych i od zysków wojennych.

Jednem słowem, pan Bonar Law pełen jest otuchy i spokojnie spogląda w przyszłość, zapewniając Izbę gmin, iż olbrzymi dług, jaki państwo ma, spłacony zostanie w ciągu lat czterdziestu dwu po wojnie z normalnych przychodów państwowych, nawet bez ewentualnego przyczynienia się kotów. Ponadto trzeba się cieszyć nadzieją, że w tym czasie wpłyną do kas państwowych i zwroty zaliczek, pobranych przez sprzymierzeńców, którzy solennie obiecali oddać, co wzięli, ale pod warunkiem, jeśli będą mieć z czego, bo z próżnego i Salomona nie należy. Do próżnego prędkiej, do tego nawet Salomona nie potrzeba.

Z tego widać, iż Anglicy liczą się poważnie z ewentualnością, iż wojna potrwać może jeszcze jedną zimę, chyba... jak powiada jeden mój znajomy polityk, a przy-

tem i strategik niepośledni, gdyby się wcześniej skończyła...

W każdym razie nie należy upadać na duchu i umieć sobie wszystko tak wytłumaczyć, jak dla nas jest lepiej, czego znów bardzo piękny przykład daje nam ex-król czarnogórski Mikołaj, *recte* Nikita, przesyłając swemu włoskiemu zięciowi telegraficzne życzenia z powodu wspaniałych sukcesów, jakie odniosła jego dzielna armia w czasie dziesiątej nieudanej ofensywy. Być jednak może, że jest to tylko przypomnienie się pamięci i kieszeni Wiktoraka, w sposób wysoce delikatny i polityczny. Ja ci przesyłam życzenia, ty mi podziękuj, a chyba wiesz, w jakiej ja formie najchętniej przyjmuję podziękowania — tak myślał Nikita, wysyłając ową gratulacyjną depezę, czy się jednak nie zawiódł, tego nie wiem. Czasem ludzie, nawet na bardzo wysokich stanowiskach, są ogromnie niedomyślni.

A Nikicie bynajmniej nie zazdroścę. O nim można z czystym sumieniem powiedzieć, że to prawdziwa ofiara wojny. Siedząc kątem u Francuzów i to do tego na ścisłej dyecie, wspomina z tęsknotą swe ojczyste góry, swe stada baranków i prosiaczków, w szczególności zaś owe rubelki, które szeroką falą płynęły z jednej strony, gdy koronki z drugiej. A on brał, wychodząc z tego mądrego punktu zapatrywania, że głupi ten, kto nie bierze, gdy dają. Czasem nadeszły i liry, ale w skąpej ilości, gdyż zięć także cierpi na chroniczne kieszeniowe suchoty... Tymczasem wybuchła wojna, obiecano funty szterlingi, ale na tem tylko się skończyło. I funtów niema i tron dyabli wzięli!...

Dałbym konia z rżędem, że i król Nikita, zupełnie tak samo, jak i ja, poświęciłby wiele, byle tylko owa wojna już się raz skończyła, a on mógł, bodajby nawet jako emeryt, wrócić do swego Czarnogórze.

Czy się jednak spełnią jego i moje marzenia i jak rychło, tego nikt powiedzieć ani odgadnąć nie potrafi, zwłaszcza, że, jak już wyżej wspomniałem, pan Bonar Law zabił nam klina zapowiedzią czwartej kampanii zimowej, senat francuski obiecuje walkę nieubłaganą aż do ostatecznego zwycięstwa (naturalnie koalicji) a i pan Kierenski, przedtem usposobiony bardziej pokojowo, zostawszy ministrem wojny, zmienił „platformę“ i pobrzękuje coraz groźniej mieczem. Jeśli zaś dodamy do tego jeszcze, że i pan Wilson nie stracił dotąd nic ze swego wojennego animuszu, to musimy przyznać, że sprawa końca wojny, a co za tem idzie i pokoju, przedstawia się bardzo smutno, a wszelkie przepowiednie wzięły już w łeb, albo niedługo wezmą.

Siadłszy na politycznego konika, tak się jakoś rozpędziłem, że widzę z przerażeniem, że na moją kochaną aprowizacyjną brankę mi miejsca, co może się ujemnie odbić na mem zdrowiu, gdyż człek czuje się zawsze lepiej, jeśli może trochę żołci wyłać bodaj na papier.

Gdybym to był otrzymał bodaj nagrodę Akademii Umiejętności z funduszu im. Jerzmanowskiego, miałbym czem łyzy otrzeć, choć, prawdę powiem, byłbym się zadowolił nawet kilku tysiącami z kwoty, przeznaczonej dla głodnych. Niestety, spaliło na panewce. Załuję także, iż nie jestem posłem do parlamentu, ale nie dlatego, iż nie mam przed sobą szerszego pola do pracy obywatelskiej na wielką skalę, ale z powodu owych dyet, które spauszalniano na tysiąc koronek miesięcznie przez cały czas trwania mandatu, bez względu na to, czy Rada państwa urządzuje, czy też nie.

Jednem słowem, niepowodzenia na każdym kroku, co musi ujemnie wpływać na humor i fantazyę. Jeśli zaś dodamy do tego miłą perspektywę, iż w najbliższej przyszłości wojenne kuchnie dla głodnych inteligentów wydawać będą tylko jednolite obiady, złożone z jednej potrawy (zupki), to chyba nikt się nie zdziwi, że i kroniki tygodniowe nastrojone będą stale na nutę trenów Jeremiaszowych.

By do tego nie dopuścić, należy się starać, by wojna się jak najrychlej skończyła i pokój zawarto, do pracy więc w tym kierunku wzywam niniejszem wszystkich P. T. Czytelników i Czytelniczki, tym ostatnim przypominając choćby zamach Bonara Lawa na angielskie koty, bo, co dziś mnie, jutro tobie!

Nie chcąc już wracać do innego tematu, ze względu na brak miejsca, poruszę jeszcze dwie sprawy, mające w każdym razie pewien związek z polityką.

Jedną z nich jest samobójstwo byłego prezydenta republiki San Marino, zostającej z nami na stopie wojennej. O panu owym, który, aby zapewnić sobie spokojną starość, w małym państewku dopuścił się wielkiej defraudacyi, pisałem już swojego czasu. Obecnie jak donoszą telegramy, nie mogąc się doczekać zwycięstwa Włochów, rzucił się z okna szpitala więziennego i w ten głośny sposób zakończył swe burzliwe życie.

Druga sprawa, niemniej ważna, to przymusowe gołenie bród żydom, aresztowanym w Warszawie. Dzieje się to na rozkaz władz ze względów higienicznych, napotyka natomiast na opór ze względów rytualnych. Ostatecznie orzekły miarodajne czynniki, że pobożnego żyda nie powinno się pozbawiać brody.